Ner 11. Kraków 16 marca 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 zlr., *półrocznie* 3 zlr., — *ćwierćrocznie* 1 zlr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 zlr. 20 c. *półrocz.* 3 zlr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 zlr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 zlr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 zlr. 30 c., *półrocznie* 1 zlr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 zlr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 zlr. w. a. — półrocznie 3 zlr, — ćwierćrocznie 1 zlr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można przez księgarnią Fr. Grzybowskiego w Krakowie — a za pośrednictwem wszystkich księgarni.

Druk BIBLIOTEKI dla KOBIET już się rozpoczął— atoli kwartał liczyc się będzie dopiero od 1go kwietnia. Kto nadesłał półroczną prenumeratę, ma zatem zapłaconą Bibliotekę, aż do końca września, czyli 25 arkuszy. *Od kwietnia rozpocznie się rozsełka* pierwszych zeszytów, a mianowicie: „*Wybór pism pani Sevigne*“.

GŁOS
JULIUSZA SIMONA
o wychowaniu dziewcząt.

Na posiedzeniu 2. marca t. r. wniesiono w ciele prawodawczém francuzkiém wniosek rządowy, o zaprowadzeniu szkółek żeńskich w każdéj gminie. Poseł Juliusz Simon, znany przyjaciel ludu, słynny autor wielu dzieł jak: o wolności, o szkole, o pracy — miał przy téj sposobności mowę, o potrzebie wyższego wykształcenia dziewcząt, z któréj celniejsze wyjątki tutaj podajemy:

„Kiedy idzie o oświatę publiczną, zkąd racyja, aby dla mężczyzn były większe wydatki jak dla kobiet? Nie przedłużajmy téj niesprawiedliwości społecznéj. Jest to zaszczytne dla obecnéj ustawy, że pomnaża liczbę szkół początkowych dla dziewcząt; lecz to nie wystarcza: potrzeba dla nich również i szkół wyższych. Niema wydatku, któryby był więcéj nagły, lub więcéj moralny. Trzeba znieść niesprawiedliwość, która jest zarazem polityczną i społeczną.

Pozbawiamy kobiety prawa i ten błąd upada na nas daleko srożéj, jak na nie. Gdybyśmy mieli zakłady wyższe dla dziewcząt, pomnożylibyśmy umysłową siłę, a może i bogactwo kraju. Macie zakładać szkoły dla siół — to dobra myśl; ależ czy będziecie ich mieć tyle, ilebyście chcieli? Prawdziwą szkołą na wsi i w odosobnionym domu jest zawsze matka; ona jest prawdziwą nauczycielką, a nauczyciel szkolny jest w istocie tylko jéj pomocnikiem. Matka daje najlepsze nauki.

Lecz wychowanie początkowe nie wystarcza jeszcze, aby podnieść powierzchnią ukształcenia ludzkiego. Jeżeli chcecie mieć dobre nauczycielki, pamiętajcie o tem, że ktokolwiek naucza, musi koniecznie, aby mógł dobrze nauczać, wiedzieć więcéj nad to, czego naucza.

Pan sprawodawca mówiąc o naszym wniosku stworzenia wychowania wyższego dla dziewcząt, powiedział, że po wielkich miastach nie brak zakładów wychowawczych, a nawet kłopot jest, który wybrać. Jest to zupełnie mylne. Nie ma ich dostatecznéj liczby; a zresztą sąż one dobre? Pośrednictwo państwa jest tu konieczne, aby wznieść zakłady dające wychowanie zupełnie odpowiednie.

Nie myślimy wcale robić z kobiet rewolucyjonistki; lecz inteligientne towarzyszki dla mężów. Wielkiém nieszczęściem obecnego społeczeństwa jest rozdział mężczyzn od kobiet; mężczyzni odzwyczajają się od domu, a kobiety ograniczone same na siebie, tracą cały swój wpływ na mężów. Pochodzi to głównie z braku wyższego literackiego wykształcenia u kobiety; gdyby było insze, mężczyzna znajdowałby przy niéj stałą przyjemność i stałą podnietę do czynienia dobrze.

Dla umysłowego bogactwa kraju byłby wielki czas przywołać do wspólnéj pracy umysł kobiety, dotąd oddalony. W dawnéj przeszłości mało kobiet zasłynęło z pism; w XVII. wieku znajdujemy tylko jedno świetne imię, panią *Sevigné*. Lecz jeżeli kobiety wtedy nie pisały, to jednak za ich wpływem pisali inni. Bywały salony, gdzie kobiety trzymały jakoby stałe wykłady literatury i moralności; literaci przychodzili tam po natchnienie i w ten to sposób tworzyło się na sławę kraju owo społeczeństwo, nad którego odbudowaniem dzisiaj powinniśmy pracować.

Potrzeba, żeby kobiety stały się znowu tém, czém zawsze być powinny, nauczycielkami i zniczem dla ducha ludzkiego; potrzeba, aby oddawały społeczeństwu swój kontyngiens wybornego dowcipu, słodyczy moralnéj i delikatności.

Jest to z każdego względu interes główny, interes sprawiedliwości, interes patriotyzmu. Dla tego nie przyjmuje głosu: „że nie ma pieniędzy“. Niechaj ich nie będzie dla każdéj innéj rzeczy; lecz miejmy je zawsze „dla świętéj sprawy cywilizacyi i sprawiedliwości“.

CACKO.

(POWIEŚĆ)

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

Gdy Zdzisław w ów wieczór wtorkowy żegnał państwa Runowskich — a wychodził ostatni — stojąca obok Ewelina zlekka pobladła i zwykły uśmiech wesoły z drobnych ustek uleciał.

— Na długo pan nas żegna? — zapytała pani Runowska.

— Nie wiem, pani... o ile zatrudnienia gospodarcze dozwolą....

— O, potrzeba znowu niezadługo do naszéj kochanéj zajrzeć Warszawki!

— Szczęśliwéj podróży i pomyślności! — wyrzekł pan Runowski — a powracaj, panie, bo i sędziwa babka zatęskni.

— Przecież pan na Boże-Narodzenie przyjedziesz? — słodkim poszeptem wymówiła panienka, gdy zbliżył się do niéj.

— Nie, pani... nie będę mógł — odrzekł drżącym głosem, i zamgliły się oczy.

— To przynajmniéj na Nowy-Rok? — i odbrzmiewał jakiś pośpiech lękliwy w tém zapytaniu dziewczęcia.

— Nowy-Rok... wiejskiemu gospodarzowi dużo nastręcza zajęcia, więc niepodobna....

— Och, to nudne!... Więc po Nowym-Roku dopiero?

Zdzisław nic nie odrzekł — głos zamarł mu w piersi.

— Wracaj pan! — i poszept tych wyrazów był jeszcze słodszym, a tak cichy, że dosłyszało go tylko ucho zakochanego.

— Żegnam panią! — odrzekł głucho, pokłonił się, lica jego pobladły nagle — i mógłby był zapłakać.

— Do widzenia! — panna pieszczoną podała mu rączkę. Do widzenia!

Zdzisław dotknął się atłasu téj ślicznéj rączki — skłonił się raz wtóry w milczeniu i wybiegł... w téj chwili chętnie w przepaść byłby się rzucił. Ostatnie pożegnanie! — a ona powtórzyła: do widzenia!

Och, to: do widzenia! Jakże gorżka ironia losu bywa w tym wyrazie niekiedy! — Ileż to razy, wymawiając go, sami sobie kłamiemy!

Zdzisław wybiegł. Państwo Runowscy do dalszych przeszli pokoi. Ewelina chwilę pozostała, niby przykuta do miejsca — potém, jakby mimowolnie, ku oknu wionęła... jak gdyby go ztamtąd jeszcze zobaczyć chciała. Ciemno było na ulicy — ciężar serce dziewczęcia przytłoczył: przeczucie dotkliwe — trwożne — pełne piołunu. Przebiegała salony, sama niewiedząc co czyni: pieszczotkę szczęścia po raz pierwszy w życiu zraniło uczucie trwogi niepojętéj i tęsknoty bolesnéj.

W salonach dopalały się światła. Fotele, plianty, taburety i krzesła dziwny przedstawiały nieład. Zwiędłe kwiatki z bukietów, papierki białe, różowe, zielone od cukierków, zalegały posadzkę. Po stolikach stały kieliszki — filiżanki — szklanki — tu wino było rozlane, tam leżały niedojedzone ciastka i owoce.... Ewelina niemile tym widokiem zrażona szybko przemknęła — a gdy do swojéj wbiegła sypialni — pełnéj elegancyi i komfortu — rzewnemi zalała się łzami.

— Cóż to pani? — zapytała się zdziwiona panna służąca, bo to był widok wcale dla niéj obcy.

— Nic mi!... Nic!... Ząb mnie boli.

O biedne dziecię szczęścia, które już kłamać musiało! — Za pierwszém takiém kłamstwem uroki zwodnicze szczęścia już pierzchać poczynają zwolna.

Nazajutrz zbudziła się Ewelina rzeźwiejsza, z wyrazem w myśli: „On powróci!... powróci rychło! Zatęschni!“ — Wszakżeż stał przed nią niemy — blady — ze łzami w głosie — z okiem zamglonem: — „On kocha!... On powróci niebawem!“ — i uśmiech cichy — tajemniczy niby a słodki, tęskne rozwiał chmurki.

„On powróci!“ — Ale minął Nowy-Rok — dzień śś. Trzech-Króli — i jeszcze tydzień — a Zdzisława widać nie było.

Wyjazd jego i siedzenie na wsi pozostawiły tymczasem otwarte pole konkurentom innym, bo dotąd uważano go jako deklarowanego niemal i wybranego przez pannę. Teraz zaś szeptano sobie, że zapewne dała mu poznać płonność jego nadziei — i dla tego on nie jawi się wcale w Warszawie. Dwóch kawalerów, na wyższym stojących szczeblu społecznym, oświadczyło się o rękę pięknéj i bogatéj panny Runowskiéj — i dostali arbuza. Za jednym z nich, zamożnym i stanowiska pewnego, przemawiał ojciec jéj bardzo, lecz panna i słuchać nie chciała. Przedstawiał — gniewał się nawet — ale szepnęła mu matka: że pan Zdzisław już tak dobrze, jak gdyby się był oświadczył, a podoba się Ewelince z pośród wszystkich najwięcéj — i zmitygowała go trochę. Bo za Zdzisławem mówiło wiele.

Nastały wieczory wystawne — bale — i śliczne cacko salonów bywało wszędzie. Strój jéj do najwykwintniejszych należał — uśmiechała się — tańczyła — lecz w sercu było tęskno.

„On powróci!... Ale czemuż nie wraca?!“ — i podumała nieraz — i zpochmurzała.

Były z matką z powinszowaniem Nowego-Roku u prezesowéj. Przyjęła je uprzejmie — ale o wnuku żadnéj nie było wzmianki.

Pani prezesowa przez całą zimę nie wychylała się wcale z pokoi swoich — więc jéj nie spotykały nigdzie. Miała tylko małe kółko, które zbierało się u niéj, — to też i nastręczać się nie chciały.

Ewelina pojąć nie mogła, dla czego Zdzisław nie wraca — i różnie to sobie tłomaczyła, różne w ładnéj główce roiła domysły, a wszystko sobie poetyzować umiała, łudząc się wiecznie — i niekiedy tylko odzywało się owo złowrogie przeczucie, które ją po onéj chwili pożegnalnéj tak boleśnie było dotknęło. Nie doznawszy jeszcze nigdy smutku żadnego, przeciwności żadnéj, nie dowierzała, by naprawdę doznać miała zawodu i boleści — i ślizgała się daléj a daléj po szklistych posadzkach, w różanych wieńcach, przy odgłosie skocznych walców *Launera* i zamaszystych *Nowakowskiego* mazurów.

Ale nic nie utai się pod słońcem — i wszystko wie się z czasem.

Dnia jednego odwiedziła ją jedna z jéj salonowych przyjaciołek, ze wsi przybyła — jakaś siostrzanka pani pułkownikowéj.

Ewelina z kochaną Ludwinią dość nacieszyć się nie mogła. Miały sobie dużo do opowiadania — a panna Ludwika trzepała języczkiem... jakby najęta — przeskakując z jednego przedmiotu na drugi, dosypując przytém soli i pieprzu.

— Ach, wiesz! — zawołała na raz jeden — byłam téż wczoraj z ciocią u pani prezesowéj. A jakiż to nudny był wieczór!

— To przecież taka rozumna i przyjemna jest osoba, i nad wiek swój ożywiona bardzo — ozwała się Ewelina — zróżowiona nagle, stawając w obronie babki ukochanego.

— Nudna i nieznośna! *Je vous la donne.* Wieczne prawi morały, i w tém istotnie bardzo jest *animowana.* Byłyśmy tylko same z ciocią i jakiś stary emeryt. Jedliśmy szynkę skrobaczą i jakieś tradycyjne sucharki z piekarni angielskiéj. A pani domu szczodrze do wszystkiego częstowała *absinth'em moralnym!* — zaśmiała się panna Ludwika.

— Jakto?

— Przez cały wieczór powstawała na wszystko, łajała, gromiła....

— Niepodobna!

— Mówię ci, jak było. Ma tam swoje uwidzenia jakieś odwieczne, i potępia wszystko co dzisiejsze. *Konserwatystka* w obec postępu! Radaby nas widzieć przy kądzieli, albo z kopystką w ręku.

— Nie wiedziałam....

— Och powiadam ci. Może i nie wiesz co z wnukiem zrobiła?

Ewelinie tchu w piersi zabrakło — pobladła — lecz z uśmiechem wymuszonym odrzekła:

— Nic nie wiem.

— Toćże wypłoszyła go na wieś i na uwięzi tam trzyma, by na dobre nie zakochał się w tobie.

— Och żarty! — biedne cacko o mało, że z krzesła nie spadło.

— *Ma foi!* Jak mamę kocham! Wiedziała, że zajął się tobą, podobałaś się, i była temu tak przeciwna, że biedakowi o mało głowy nie rozklektała, *c'est un bon enfant*, ale...? — i ramionami ruszyła. — Zarzucała ci, żeś do niczego: *un pétit rien*; żeś najniepraktyczniéj wychowana pod słońcem, że igły do ręki wziąść nie umiesz, że nic zrobić nie potrafisz, na niczém się nie znasz, nawykła do marnotrawstwa i do zbytku. Że dla ciebie życiem całem są tylko bale, opery, ekwipaże, stroje, świat wielki, a nie skromny dworzec obywatela wiejskiego. Że ruiną stałabyś się dla niego, to jest: dla jéj wnusia. Uciekałabyś do Drezna, do Paryża, albo przynajmniéj do Warszawy, a onby oszalał, albo w łeb sobie wypalił. I czy wiesz, że ciebie cackiem przezwała? Cczém cackiem salonowém. *C'est méchant*, nieprawdaż?

Ewelina siedziała jakby na torturach — na wpół martwa — zimna, jak marmurowa — z uśmiechem salonowym na ustach.

— I téż doprowadziła do tego, że *un beau jour*, pan Zdzisław rzucił się w powóz pocztowy i swoją *divinissima* porzucił. A musiał zarzec się babce, że nie tak prędko znowu do Warszawki zawita. Mazgajowatéj natury kawaler! *Un nigaud!...* Jak ślimak! *Passez moi l'expression, mais c'est plus fort que moi.* Nie mogę mu tego darować. Słucha babunci chłopiątko, *une bavette* pod bródką, by sukienki nie splamił, a potém, że grzeczny, babuncia da mu pierniczek z migdałkiem! — i zaśmiała się głośno ze swojego dowcipu.

Zaśmiała się i Ewelina — lecz krwawo było jéj w duszy.

— Pan Zdzisław strzela zające dla babunci — ciągnęła daléj bezlitośnie panna Ludwika — pilnuje młocków, sypie koniom sieczkę, rozprawia z karbowym, gra w maryaża z księdzem proboszczem, i jest szczęśliwym! — pośmiała się znowu — a może i konkuruje o jaką gospodarną sąsiadkę, która sama za kurami chodzi i sery wyrabia, *bon chien chasse de race!...* Ale cóż ty na to?

Szczęściem było dla biednéj Eweliny, że w téj chwili weszła jéj panna garderobna i wniosła na ręku śliczną suknią balową, przyniesioną właśnie od panien *Kunke — iluzyonową*, leciuchną jak puch.

Panna Ludwika porwała się z leżanki, i przepomniała o wszystkiém innem. Potém znać dano, że są wizyty w salonie — i obiedwie udały się także niebawem.

Ewelina była blada — ale spokojna i uśmiechnięta. Biedne cacko!

Po oddaleniu się gości, oświadczyła matce, że do pani Podbylskiéj pojedzie — i zajechać kazała karecie.

(Ciąg d. nast.)

DWIE PARY.

Cicho, pusto na ulicy,
Już promienie dnia blednieją —
A w kościelnéj tam kaplicy
Przy całunach światła tleją.
Jak tam głucho wśród żałoby!
Blask się gromnic w szybach dwoi,
A na środku bez ozdoby
Katafalek niski stoi...

Na nim trumna niezłocona,
Bo się biedzie nie należy,
Słabém światłem otoczona —
W niéj dziewica młoda leży....
Gdyby nie ten blask gromnicy
Z tym przyborem pogrzebowym,
Zdałoby się, że dziewicy,
Coś się marzy w śnie majowym.

Taka w śmierci piękna, cicha,
Jak marzenia duch skrzydlaty,
Zda się, że jéj pierś oddycha,
Z pod grobowéj, białéj szaty.
Zda się tylko, że z marzenia
Ócz się swych otworzyć boi —
Lecz niestety, to złudzenia —
Przy niéj blady człowiek stoi....
I jéj zimną rękę trzyma —
Na téj młodéj martwéj twarzy
Łez nie widać, bólu nie ma,
Ale oko strasznie marzy....

Smutno tli się blask gromnicy,
W trumnie Anioł leży biały,
I młodzieniec przy dziewicy
Blady, sztywny, skamieniały!

Wtém, powozy jadą z trzaskiem,
W nich weselne, świetne stroje.
I zajaśniał kościół blaskiem,
W woniejących świateł roje.
a para od podwoi
łtarzy śmiało kroczy,
ęście w uśmiech twarz im stroi —
ko patrzą sobie w oczy.

Kapłan wyszedł przed ołtarze,
I w świąteczny strój ubrany
Ręce młodéj związał parze,
Hymn radości brzmią organy!
Znów z uśmiechem szczęścia w oku
Para wraca się weselna,
Nikt nie zważał, że na boku
Tli gromnica się śmiertelna.
Odjechali.... a w kaplicy
Blask się gromnic w szybach dwoi —
Czarna trumna — przy dziewicy,
Blady, sztywny człowiek stoi!...

Albert G. W. —

Kobiety dramatów Słowackiego.

III.

(LILLA-WENEDA.)

Roza Weneda. — Lilla Weneda. — Gwinona.

(Ciąg dalszy.)

Ten drugi chór odnosi się do drugiego zwycięztwa, jakie serce Lilli odniosło nad złością Gwinony. Gwinona bowiem kazała zamknąć Derwida w wieży pełnéj syczących wężów i rzekła z urąganiem do jego córki: „teraz wybaw go, jeżeli możesz.“ Lilla porywa harfę, muzyką czaruje węże i wyprowadza je za sobą z wieży siłą téj muzyki.

Przy wieży, biała księżycem dziewica
Siedzi na harfie grająca, a przy niéj
W kręg stoją węże tak wyprostowane,
Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną.

I jeszcze jedna ciężka próba, Gwinona chce głodem umorzyć Derwida. Lilla ją prosi, by jéj wolno było iść pożegnać ojca.

Nie niosę chleba — niemam nic przy sobie —
Ja go zobaczyć tylko chcę przed śmiercią —
Jam go nie mogła zbawić, więc pożegnam.
Dla tego głowę ubrałam w lilije,
W te wodne kwiaty, które u nas kładą
Dziewicom zmarłym na ostygłe czoła.

Ale właśnie w tych białych lilijach było zbawienie Derwida. Były to bowiem lilije, których łodygami karmi się zwykle lud litewski w czasie głodu; łodyga ma rdzeń słodki, gębczasty, który za pokarm służyć może. Tak więc Lilla po trzykroć zbawia ojca — dowcip córki, chcącéj ocalić ojca, pokazuje się potężniejszy, niż wymysły tych, którzy go chcą zgubić — i zwycięża miłość. Wtedy następuje katastrofa dramatu, wikła i mięsza akcyją, która zdawała się już zbliżać do szczęśliwego rozwiązania. Wenedzi pojmali w niewolę syna Gwinony — Lechona. Matka więc trwożna o życie swego ulubieńca chce mieć za ręką Wenedów, i wypuszczając na wolność Derwida, zostawia sobie jego harfę w zakład za życie syna. A tymczasem wróżka Roza do czarów zapotrzebowała krwi jeńca. Lechon już nie żyje; na odwrócenie złych losów wróżka poświęciła człowieka, przez którego właśnie zbawienie przyjść mogło. To fatalność starożytna, która têm właśnie gubi człowieka, przez co sądził, że się ocali; harfa, któramiała zwyciężyć, nie może wrócić do Wenedów z powodu śmierci Lechona. Lilla-Weneda ofiaruje się jednak iść i w zamian za życie Lechona, oddać swoje i wraca do Lechitów po harfę. Tymczasem w obozie Wenedów straszna walka i okropne oczekiwanie. Wenedzi padając czekają na jęk harfy, która ma im dać zwycięztwo — a harfy nie ma. Ślepy Derwid wstając z tronu i rwąc włosy, woła wśród ryków burzy:

Pioruny, bijcie we mnie o pioruny!
Bądźcie wy królem, a ja będę harfą!

Wreszcie przynoszą skrzynię. Roza mówi: „daj twemu ludowi zwycięztwo“. Derwid zbliża się do skrzyni, otwiera ją, by dobyć harfy — i dotknął się trupa Lilli w śmiertelnéj koszuli, z wieńcem bławatkowym na głowie. To ostatnia zemsta Gwinony — ona to własnemi rękami udusiła Lillę, zwiastującą jéj śmierć syna — i zamiast harfy, trupa córki odesłała Derwidowi. Na téj harfie, na ciele córki obrzuconém złotemi włosami, zrozpaczony ojciec kładzie palce i gra pieśń, już nie pieśń zwycięztwa, ale pieśń swojéj boleści. Lud traci odwagę, wątpi i cofa się. Roza-Weneda gna go w bój wołając:

Cóż to? nie słyszycie
Téj pieśni z łez królewskich? Idźcie skonać!

PIERWSZY Z WODZÓW.

Wróżko! przyrzekłaś nam zwycięztwa harfę.

ROZA WENEDA.

Ja ci przyrzekłam — co? — Chodź tu i patrzaj.
I ty myślałeś, że więcéj jest głosu
W strunach, niż w trupa niewinnego ciszy?
Gdzież taka harfa jak ten trup? Gdzież takie
Tony żałosne, jak płacz tego ojca,
Co w rękach córki rozwija warkocze,
I szuka w nich jak w strunach drżących głosu?

Boleść więc i rozpacz jest jedynym i ostatnim motorem do walki — wodzowie idą walczyć i umrzeć. Derwid przebija się przy ciele córki. Polelum z trupem brata występuje na stos śmiertelny, gardząc łaską Lecha; jedna tylko wróżka zostaje, która z popiołów zgasłego stosu wyjąwszy kajdany, rzuca je do nóg Lechowi mówiąc:

Patrz! co zostało z twoich niewolników.

Brzęk kajdan jest zakończeniem dramatu — zakończeniem walki śpiewaczego narodu.

Poświęcenia Lilli zginęły bezowocnie, w zawierusze strasznych wypadków.

Zwyciężyły złość i mściwość Gwinony ale przeznaczenia zwyciężyć nie mogły. Fatum tylko tryumfuje i koła jego rydwanu przechodzą po martwych ciałach Lilli, Derwida, jego synów i ludu. A drugim zwycięzcą w dramacie jest harfa, ów duch narodu niespożyty. Próżne są usiłowania Lecha i Gwinony, by tego ducha złamać lub sobie pozyskać. Ta moralna siła urąga wciąż ich fizycznéj przemocy, urąga słowami Derwida, miłością Lilli-Wenedy — a w ostatniéj chwili przez usta Polela stojącego na stosie, gdy mówi do zwycięzcy Lecha niosącego mu przebaczenie:

O stworzenia!
Czuję nad wami w sercu wielką litość,
I wielką wzgardę! —

Walka się skończyła upadkiem narodu. — Wenedów niema, a jednak ten duch jeszcze z popiołów pogrzebowego stosu zdaje się naigrywać z potęgi Lecha, bo jak powiada Derwid:

Po narodach wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Moc twoja blednie. —

W końcu pozostaje nam jeszcze do skreślenia charakter Gwinony. Gwinona jest uzupełnieniem Lecha. Jeżeli on przedstawia nam siłę fizyczną, brutalną ze wszystkiemi dodatniemi stronami, to w Gwinonie widzimy same ujemne strony téj siły, wszystkie złe instynkta zwierzęce. Nawet jéj boleść jako matki trwożnéj o los Lechona niema nic ludzkiego w sobie — to rozdrażniona tygrysica, która wścieka się, kąsa i dusi. Śmierć Salmona jéj kochanka, śmierć jéj najmilszego syna, nie są głównemi powodami jéj pastwienia się nad Derwidem, bo jak sama spowiada się w akcie III. scenie II., gdy jéj doniesiono że Salmon żyje, że niechce już powracać w przeszłą radość i z trupami powróconemi znów się zapoznawać — ona woli mścić się za zabitego, niż cieszyć się żywym. Taka natura i bez tych powodów do pastwienia się zdolna — a owa podwójna śmierć najukochańszych osób, to tylko szczęśliwy pozór, dwa szersze upusty, któremi złość jéj wylać się może.

Gwinona nie jest nawet taką zbrodniarką na wysoką skalę jak Balladyna — to tylko złe babsko ze wszystkiemi małościami duszy, ze wszystkiemi ułomnościami i pasyjami kobiecemi. Namiętności jéj szaleją bez wędzidła — lada drobnostka ją drażni — pieni się, złości i płacze na przemiany, gdy nie może postawić na swojém. To ksantypa bez greckiéj chlamidy — a Lech z całą swoją rycerską odwagą nie jest niczém więcéj — tylko pantoflem. Ich małżeńskie sceny, wśród tragiczności wypadków, wyglądają jak epizody z komedyi. Kiedy Lech wzruszony prośbami Lilli, chce uwolnić jéj ojca, Gwinona w obawie, by nie postradała przedmiotu swéj zemsty, używa tych sztuczek, jakiemi każda żona usiluje zawojować męża — używa spazmów, wymówek, przymilań, gróźb i płaczu.

O dzień przeklęty, kiedym ja się dała
Uwieść przez ciebie z islandzkiego brzegu,
Abym tu teraz była niewolnicą.
. . . .
O łatwo zakład ci wygrać z królową,
(mówi do Lilli)
O któréj honor nie dba mąż i rycerz.

A widząc, że to nie pomaga, grozi mu, że się rzuci z wieży i zabije. I poczciwy Lech ustępuje. Nie on pierwszy i nie on ostatni. Kłótliwa baba nie zadawalnia się tém zwycięztwem nad mężem — ona radaby, żeby wszyscy chodzili po jéj woli. Każdy opór ją drażni i wścieka. Milczenie Derwida wprawia ją w szał złości, plwa na niego, bije go w twarz, a na usprawie-

dliwiępie swoje ma tylko to, że nikt inny nie uderzył go za nią. „Wtedy (mówi) byłabym ostygła“. Do tych ponętnych przymiotów Gwinony należy także ciekawość. Jakżeż ona nie chodzi koło harfy Derwida, jak ją niepokoi co ta harfa znaczy, jakie w niéj czary, usycha z ciekawości.

Słyszałam, że ty masz w téj harfie ducha,
(mówi do Derwida.)
Który zgaduje przyszłość — czy to prawda?
Każ mu wystąpić, niechaj go zobaczę —
Ja tego ducha widzieć chcę. Rycerze!
Przynieście jemu (Derwidowi) jeść i pić, niech się ożywi.

Dla ciekawości więc gotowa nawet zemstę swoją poświęcić i darować życie Derwidowi.

Charakter taki jak Gwinony, można streścić w jedném słowie „jędza“ — to słowo określa dokładnie to zbiorowisko małych i brzydkich namiętności, despotyzmu obok słabości, zbiorowisko tém potworniejsze, że się mieści w kobiecie. Może poeci przesadzili trochę porównywując kobietę do Anioła — ale to pewna, że kobieta w świecie etyki i estetyki ma wyższy stopień od mężczyzny, dla tego namiętności, z któremi mężczyzna staje się złym, kobieta jest już potworem. Takim potworem jest Gwinona — i potwór ten ginie nie od miecza jak rycerz, ale urnami zatłukli ją harfiarze, gdy się wdzierała na wzgórze zabić Derwida. Gwinona równie jak Wdowa w Balladynie mają to wspólnego, że są studyjowane z natury i oddane z wielką prawdą i znajomością. (Ciąg dal. nast.)

KORESPONDENCYJE.

Paryż 5. marca 1867.

Pisać do pisma przeznaczonego dla niewiast?... pisać dla płci pięknéj!... och!... — coś mi w piersiach niby jękło. Pisać do płci pięknéj??... o czem?... Głos wewnętrzny odpowiada mi: o wszystkiém, o czém się z płcią piękną mówi. O czémże, ciekawym wiedzieć, nie mówi się?... Nie znam przedmiotu, któregoby się nie dało użyć na przedmiot rozmowy w towarzystwie, uplecioném jak gierlanda z kwiatów różnych barwą, wonią i stopniem rozkwitu. Od czasu zwłaszcza popularyzowania nauk, nawet nauki ścisłe weszły w zakres rozmów salonowych. Nic milszego, jak matematyka w rozlicznych jéj zastosowaniach, chemija, fizyka, przechodzące przez różane usta. Te nauki ścisłe, zimne, przestają być ścisłemi i nabierają jakiegoś ciepła, które im wychodzi na korzyść.

Popularyzowanie nauk korzystném jest z tego głównie według mego zdania, względu, że trafia do płci pięknéj. Przez to daje ono naukom życie, którego one nie posiadały, gdy przeznaczonemi były wyłącznie dla mężczyzn, gdy stanowiły pewien rodzaj monopolu płci. Nabywano je na zimno, z pewnym rodzajem mniejszego lub większego wstrętu, ale zawsze wstrętu, którego nie miały tylko istoty wybrane, palcem bożym niejako na uczoność pomazane. Ale, cóż to były za istoty! co za dziwolągi wyradzała zamonopolizowana uczoność. Towarzystwo dla nich nie istniało. Ich światem, ojczyzną, rajem była nauka, tylko nauka i nic więcéj. Otworzenie do nauki przystępu dla płci pięknéj zmieniło to.

Utrzymują niektórzy, że popularyzowanie nauki dzieje się ze szkodą naukowości, czyniąc ją powierzchowną. Jest w tém trocha racyi, lecz tylko trochę. Bo jużci na owych pomazańców bożych nie wywiera to szkodliwego wpływu. Ci umieją przebić skorupę i zajrzeć do głębi. Nie zatrzymują się oni na powierzchni: — O to niema najmniejszéj obawy. Jabym sądził, iż nie w tém, że uczoność stanie się powierzchowną, tkwi niekorzyść popularyzowania, lecz w tém, że popularyzowanie wytwarza mnogość niedouczków, mających się za głęboko uczonych. Jest to jednakże niedogodność tylko towarzyska, istotnéj naukowości najmniejszéj nie przynoszące szkody. A niedogodność ta kończy się na utrapieniu, jakie ci uczeni lub te uczone wnoszą z sobą na salony, wprowadzając na nie, naprzykład, filozofią *à propos des bottes*. Rozmowa toczy się o monstrualiźmie długich ogonów, oni ją nawracają na zasługi nieboszczyka *Cousin'a*, o których byliby nic a nic nie wiedzieli, gdyby nie *conferences scientifiques* lub *litteraires*, pouczające publiczność o wszystkiém, co tylko w zatrudnienie wchodzi.

O konferencyjach jednakże, o wiedzy i jéj zakresie w zastosowaniu do świata niewieściego, słowem o przedmiotach poważnych, muszę pisanie odłożyć do późniejszych korespondencyj, które się pociągną szeregiem długim. Niejedna z nich pobudzi czytelniczki do ziewania. Przykrą to jest perspektywą dla korespondenta. Cóż robić!... Trzeba niekiedy, chociażby dla rozmaitości być i nudnym. Póki jednakże nudność nie wydzieli się ze mnie w postaci listów, traktujących o rzeczach poważnych, tymczasem postaram się być zabawnym, a raczéj interesującym. Wezmę za przedmiot pisania rzecz interesującą, chociaż nie nową i opisaną już z najdrobniejszemi szczegółami tysiące, milijony razy. *Nota bene*. rzecz to jest, na któréj się nic a nic nie znam. Będę więc o niéj pisał, nie jako znawca, ale jako amator. Nazywa się ona modą.

A więc: o modzie. Kto wie, ażali w poglądzie moim na nią nie znajdzie się coś oryginalnego.

Podpatrzyłem modę — zgadnijcie gdzie? Nie na balu. Gdzie mi tam do balów w takim, jak teraz smutku, w takim czasie żałoby!... I nie na teatrze. Na teatr chodzę dla sceny, nie zaś dla wystawy, ubranéj w ramy aksamitem obitych lóż. I nie na spacerach. Na przechadzkę wyciąga mnie gwałtowna potrzeba odetchnięcia świeżém powietrzem, potrzeba nie pozwalająca ga-

pić się na motyle, chodzące piechotą i przejeżdżające w wykwintnych powozach. Podpatrzyłem ją w kościele, gdzie gdym ducha uspokoił i z opłaconego stołka spojrzał dokoła, rzuciły mi się w oczy dwie mody: ta która schodzi i ta, która wchodzi, wczorajsza i dzisiejsza. Westchnąłem. Myślicie znów, iż żal mi się zrobiło za schodzącą? — Bynajmniéj. Westchnąłem ze smutku nad dziwnym brakiem gustu w naszych czasach, a nie tyle jeszcze może nad brakiem gustu, ile nad zamiłowaniem w przesadzie. Wczoraj przesadzano w szerz, dziś przesadzają wzdłuż. Wczoraj do monstrualnych rozmiarów doprowadzono objętość, dziś do takichże rozmiarów doprowadzają wysmukłość, sztukowaną i u góry i u dołu: u góry czubkiem, u dołu ogonem. Modne panie wobec wczorajszéj mody, wystąpiły w postaci glist klęczących. Gdy stoi, zdaje się, jakby klęczała: taki effekt sprawia ogon od sukni, drapujący się na nogach od kolan do stóp pozornie. Gdy idzie, ogon się za nią wlecze, a ona się chwieje, jakby nogi pod nią mdlały. Zdziwiony, patrzysz jéj w oczy: czy biedaczka nie osłabła nagle? czy nie potrzeba biedz do lekarza po ratunek, po silnie pachnące wódki i orzeźwiające sole? — Nie. Jest ona zupełnie zdrową — idzie, ale nie na własnych nogach. Dla tém większéj wysmukłości przyprawiła sobie szczudła pod pięty i nie dziw, że się chwieje. Na szczudłach nie sposób chodzić prosto i śmiało.

Niechże mi kto wytłómaczy, co mogło płeć piękną pobudzić do téj przesady w wysmukłości. Nie mam za złe tego, że piękno, jakiém jest płeć niewieścia, usiłuje być najpiękniejszém. Usiłowanie to leży w naturze rzeczy. Tak być powino. Ale niechże to piękno usiłuje rzeczywiście być jak najpiękniejszém, nie zaś, jak to się z zastosowaniem do mody dzieje, jak najdziwniejszém. Jakoś moda dzisiejsza podziwem tylko przejmuje. Mimowolnie pozostaje w myśli zapytanie: jak to można bez zaplątania się co moment i bez upadania co drugi krok chodzić w takich długich sukniach i na tak wysokich obcasach?... Odpowiedzą mi: od czegóż zaprowadzona po wszystkich naukowych tak męzkich jak żeńskich zakładach gimnastyka?... Prawda. Moda przeto dzisiejsza ma praktyczną swoją stronę, a tą jest, ciągłość ćwiczeń gimnastycznych.

Jest jednakże w niéj coś, co się praktycznie nie da wytłómaczyć, co pod względem gustu ogromną krzywdę płci pięknéj czyni. Czytelniczki może domyślają się, że chcę mówić o włosach przyprawianych — przyczepianych do głowy, w sposób jak najobrzydliwszy, bo formujących z tyłu głowy drugą głowę, czy też rodzaj przenośnego jaśka. Obrzydliwość jednakże jest jeszcze najmniejszą krzywdą. Krzywda tkwi w odkryciu, zrobioném w Moskwie, przez Dra. Lindemana. Włosy używane do robienia z nich szinionów, a więc pochodzące od kobiet, nie mających w zwyczaju utrzymywania głowy w czystości, sześćdziesiąt na sto części zarażone są pasożytném stworzeńkiem, nazywającém się *gregoryna*. Zarażone włosy nie różnią się niczém od innych. Tylko za pomocą mikroskopu można odkryć jajeczka, których nie niszczy ani wrząca woda, ani gorące żelazo, a tak do włosa przylegle i mocno przyczepione, że nie odrywa ich najgęstszy grzebień. Stworzeniek tych pochodzenie, mieszkanie — powiada doktór — jest wielce ohydne *(tres ignoble — most ignobli)*. „Mówią, iż nadzwyczajnie szybko i na milijony, zarażają włosy i skórę i narażają elegantki na rozliczne choroby“. Lecz — są słowa Dra. L. — moda nie rozumuje. Nie posługuje się ona mikroskopem, w celu odkrycia tego, co może szkodzić zdrowiu. A ze wszystkich sztucznych środków toalety może ani jeden nie jest szkodliwym nad zagregorynowane włosy.“

Owóż, rozpocząłem korespondowanie do „Kaliny“ alarmem, za który mocno Czytelniczki przepraszam. W następnych listach może się poprawię.

T. T. J.

ROZMAITOŚCI.

Odczyty publiczne. Skończył się wreszcie karnawał, — w ostatni wtorek ochoczo wybijała mu młodzież podzwonne spracowanemi nogami; — strzępy balowych sukien, przepotniałe maski, powiędłe kwiaty i wspomnienia rzucono w kąt; panie puder zamieniły na popiół — i rozpoczął się wielki post uroczystém przedstawieniem na niebie, zaćmieniem słońca, — pierwsze przedstawienie w tym roku bez celu dobroczynnego. W kościołach i na niebie rozpięto kiry w popielcową środę. — Ciekawa rzecz jak w Warszawie policyja zniosła tę żałobną demonstracyję słońca wbrew jéj zakazom. — Uroczyście więc rozpoczęliśmy post, uroczyściéj może rozpoczęły go nasze kieszenie niż żołądki, — te ostatnie za dni czterdzieści będą się łatwo mogły pocieszyć podczas świąt, które u nas nie „Wielkanocą“, ale „wielko-jedzeniem“ nazwaćby się powinny. Do tego czasu niema obawy, abyśmy zbytnie pochudli i pomizernieli, przynajmniéj z braku rozrywek nie, z tą tylko różnicą, że zabawa z nóg przeszła do głowy. Mamy zapowiedziane koncerta, teatra amatorskie, wystawę obrazów i odczyty publiczne, o których już poprzednio wspomnieliśmy. — Pierwszy taki odczyt odbył się w poniedziałek przy licznem zebraniu publiczności, szczególniéj pań, które zawsze u nas przodują tam, gdzie idzie o szlachetny cel. Widzieliśmy je zgromadzone licznie na balach publicznych, pracujące drobnemi nóżkami na rzecz kształcącéj się młodzieży; słuszna więc, abyśmy je widzieli jeszcze liczniéj zgromadzone na odczytach, strojące się z równą chęcią w naukę jak w gazowe suknie. U nas, gdzie Wszechnice z całém bogactwem wiedzy zamknięte są jeszcze przed płcią piękną, podobne odczyty powinny być dla niéj wielce pożądanemi.

Odczyty rozpoczął Szanowny Prezes Tow. Naukowego Dr. Majer nauką „o temperamentach“. Odczyt swój poprzedził krótką przemową do publiczności, w któréj wspomniał, że po zabawach karnawałowych, dających się poczęści usprawiedliwić, nastał czas poważniejszego wglądnięcia w siebie, pracy umysłowéj. Odczyty publiczne nie odpowiadają wprawdzie w zupełności téj potrzebie, krótkość czasu nie pozwala ludziom nauki podzielić się z publicznością zdobyczami swemi i poprzestać muszą na pobieżném skreśleniu niektórych gałęzi umiejętności, ale żywy współudział w nich publiczności, wleje w umiejętność ożywcze ciepło i doda zapału mozolnym pracownikom — a z drugiéj da sposobność niejednemu

z uczącéj się młodzieży służyć kiedyś zaszczytnie na polu umiejętności. Te cele powinny zachęcać publiczność do licznego zgromadzania się. — Po tym wstępie przeszedł Szan. Profesor do jednéj z różnic między ludźmi wynikającéj z temperamentów. Wytłomaczył jasno i treściwie teoryję Galena o czterech elementach i wypływających z ich połączenia czterech temperamentach (sangwiniczny, flegmatyczny, choleryczny i melancholiczny). — Wykazał następnie jak pomimo postępu umiejętności ów podział Galena oparty na bystrém postrzeganiu — utrzymał się z tą różnicą, że ten podział nie ma teraz za podstawy cztery żywioły, w które teraz nikt nie wierzy, lecz stosunek wrażliwości i odporności objawiający się przez nerwy. Stosunków takich jest cztery: wielka wrażliwość i silna odporność tworzą charakter choleryczny — mała wrażliwość (tj. możność odbierania wrażeń), i odporność (tj. przeciwstawienie się tym wrażeniom) dają charakter flegmatyczny. Z połączenia się wielkiéj wrażliwości i małéj odporności powstaje charakter sangwiniczny — a wielka odporność z małą wrażliwością dają charakter melancholiczny. — Wykład zakończył Sz. Profesor trafném i pięknêm scharakteryzowaniem tych czterech temperamentów.

Niezgodzilibyśmy się tylko na jedno zdanie, tj. że różnice temperamentów występują wybitniéj u narodów ucywilizowańszych. Jeżeli bowiem, jak sam Sz. Profesor utrzymuje, między wrażeniami odebranemi a odpornością stoi dusza, w takim razie w miarę jéj rozwoju działanie temperamentów staje się mniéj jaskrawsze, moderuje się i zastosowuje; czasy Homera więcéj może mają odrębnych indywidualności, różnice temperamentów bardziéj jaskrawo i nago się przedstawiają niż w naszych czasach.

Żałować przychodzi, że krótkość czasu zmuszała Szan. Profesora trzymać wykład w ciasnych ramkach, że nie dozwoliła mu rozwinąć szerzéj przedmiotu i wykazać owe ogromne wpływy, jakie temperamenta ludzi i narodów wywarły na rozwój dziejów.

Rzęsistemi oklaskami podziękowała publiczność Szan. Profesorowi za te kilka chwil poświęconych dla niéj.

W piątek d. 15go t. m. — odczyt Józefa Szujskiego. — W poniedziałek d. 18go marca Dr. Józefa Kremera. — W piątek d. 22go marca Dr. Józefa Łepkowskiego. — Zwracamy uwagę Szanownych Czytelniczek na to ogłoszenie, gdyż ono pokazuje zmiany, jakie musiano porobić w programie drukiem ogłoszonym.

(Nadesłane.) **Kilka słów do Szanownych Matek, które przyszły los swoich dzieci mają na sumieniu.** Pozwalam sobie polecić macierzyńskiéj uwadze sposób zabezpieczenia przyszłości i spokojnego bytu, tj. **asekuracyją na życie**. Świat ucywilizowany bierze powszechny udział w tego rodzaju ubezpieczeniu; niema wyłączającéj się warstwy ludności. Osoby zamożne przystępują do ubezpieczeń, wiedząc, że chwilowe powodzenie pomyślne, pozbawionêm jest rękojmi trwałości; żyjący zaś z przemysłu i pracy właśnie w ubezpieczeniu znajdują środek uniknięcia skutków z zatamowania przemysłu, z ustania roboty i z fizycznéj niemocy wyniknąć mogących.

Obawiamy się wypadków możebnych, ale nie koniecznych; a jesteśmy spokojni względem wydarzeń, które czy wcześniéj czy późniéj ulegają prawu konieczności. — Gdyby każdy ojciec rodziny był asekurowanym na rzecz małżonki i dzieci swoich, mało liczylibyśmy ofiar nieszczęścia. — Zadaniem jest matek przedstawiać mężom swoim potrzebę ubezpieczania losu rodziny. Zbytecznie byłoby przykładami stwierdzać, jak smutnym jest częstokroć los dzieci, niegdyś w domu rodzicielskim przy dobrym a przynajmniéj znośnym bycie, pieszczonych, pielęgnowanych, i jak oko w głowie strzeżonych.

W pracowniach szycia, cóż sobie koleżanki nawzajem nie opowiadają? Że to, czego się dla zabawy, dla wygody i własnego pożytku, przeplatając godziny naukowe, nauczyły, pozostało im jako jedyny sposób do życia, jako jedyny sposób utrzymania zgrzybiałéj matki i młodszego rodzeństwa, żyjąc przytém z tą obawą, że w kilka lat wzrok stracą.

I młodzi i starsi ojcowie mają wolne pole, żadnemi niezagrodzone przeszkodami. Starszy wiekiem może odzyskać i ocalić to, czego zaniedbał.

Jak życie ludzkie jest przemijającém, tak i materyjalne warunki bytu są chwiejne i niepewne, o ile na pojedynczych usiłowaniach polegają.

Duch asekuracyi ma potęgę niezłomną, utrwalającą, i od wszelkich klęsk ochraniającą. Uczestnictwo w tém zbiorowém współdziałaniu na korzyść owdowiałych matek i osieroconych dzieci, jest obyczajowym objawem naszego wieku, jest postępem cywilizacyi, wyrazem chrześcijańskiéj miłości.

Błogie są owoce takowego uczestnictwa: spokojność umysłu — bez względu na nawalnice losu kołatające rodziną; pewność, że członkowie rodziny nie rozproszą się dla szukania łaskawego chleba.

Znany ekonomista Edmund About wydał właśnie w tym przedmiocie książkę p. t.: „*L'assurance de la vie*". (A. H.)

— W Paryżu zawiązało się **Stowarzyszenie nauczycielek wolnych.** Celem jego założenie dla nauczycielek Domu przytułku, gdzieby na starość znalazły przyzwoite mieszkanie z roczną pensyją trzystu franków, albo wspólném jadłem i t. d.

— **Rzeźbiarka Elżbieta Ney**, miaszkająca obecnie w Berlinie, pracuje teraz nad biustem Bismarka. Poprzednio dała się poznać wykonaniem wybornych biustów Szopenhauzera, Varnhagena, Garibaldego.

— **Przezorny lekarz.** Przy łóżku jednéj słabéj panny, mającéj lat trzydzieści, siedział młody przystojny lekarz, słuchając jéj skarg z największą cierpliwością. Gdy pacyjentka wszystko już przed nim wynurzyła, rzekł:

„Z opisania choroby wacpanny poznaję, iż słabość jéj jest tylko skutkiem przykrego stanu, który z saméj natury pochodzi. W tym przypadku lekarstwa nic nie pomogą. Chciéj waćpanna pójść za mąż, a ta migrena, te humory, te kurcze znikną jak mgła przed słońcem".

Panna zdała się być zdziwiona tą propozycyją. nareszcie rzekła: „Podobno wacpan mówisz słusznie; usłucham więc rady jego, i abym prędzéj do zdrowia przyszła, chciéj się wacpan ze mną ożenić!"

Na co przezorny lekarz wstrząsnąwszy głową, odrzekł: „Moja pani, my lekarze zapisujemy wprawdzie lekarstwa, ale sami ich nie zażywamy".

Przy numerze dzisiejszym załącza się dla prenumerujących **nuty** — „Idylla" na fortepian — Ant. Płacheckiego.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.